

ŚWIAT DZIEWCZĄT

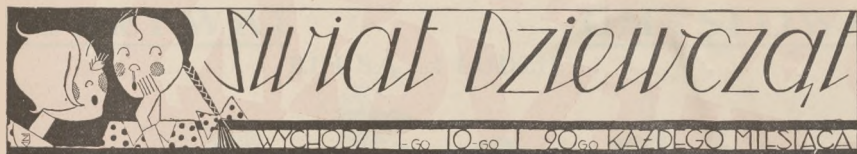


W. K. K.

W. K. K.

000.16

50



RADOSNE DNI

Gdzieś w obozie harcerskim, czy innym, na kolonii leczniczej, czy urządzonej przez zakład naukowy, czas pułkowany jest dokładnie, szczegółowo, wyzyskany do ostatnich możliwości — starszyzna myśli zapobiegawczo o wszystkim. Inaczej, kiedy się lato spędza poza organizacją, a potem żal... że czas się jakos rozszedł na niczem; że się tego, czy owego nie zwiedziło w tak bardzo bliskiej okolicy, tam znów nie było na uroczystości narodowej, czy lokalnej, ówdzie nie wyzyskało sposobności zobaczenia znakomitego człowieka, czy je-

go siedziby, nie poznało oryginalnego obchodu ludowego, nie uczyło wieńcem pomnika czy mogiły... Tak, lato może dać dużo, nauczyć dużo, rozwinąć ale uzależnione jest to ściśle od energii, przedsiębiorczości, wytrwałości przedewszystkiem, nietylko wyłącznie warunków materialnych, stanu kasy. Z towarzysiwa, spędzającego razem wakacje, jednostka najenergiczniejsza, jak się dziś mówi „aktywna” niech pobudza inne, przypomina im od czasu do czasu, że to lub owo zrobić warto, żeby się czas jakos nie rozlaź.

To nie żarty: 1/6 całego roku!

Niejedną z was rzucić się w tę przestrzeń czasu nieopatrnie, widząc przed sobą szereg dni słonecznych tylko: plażowanie, pływanie, wiosłowanie, to znów spacer, śpiewy w wieczory księżycowe, opowieści wieczorne na przyzbie... Odpoczynek, zabieg celny wzmocnienia organizmu — nuta dominująca fery. Ale godziny deszczu, burz letnich, szeregi dni, nieraz tygodni zimniejszych, słotnych, pochmurnych? A dnie zmęczenia po forsownej, dalszej wycieczce górskiej, samochodowej, rowerowej, wodnej, pie-



„Szereg dni słonecznych — pływanie, spacer, drzewa w kwiatach. Mija się namiętni ludzie — namiętnie. — To wakacje.

szę? a godziny wielkiego upału, które się zazwyczaj spędza na werandzie? a przynajmniej, parogodzinny wypoczynek na leżaku, hamaku, przepisany przez lekarza?

Czyta się wtedy — odpowiedź. Tak, czyta się, ale co w rękę wpadnie, a czasem niema na danym letnisku nawet o! rozpacz. nie albo prawie nie, bo zna się to wszystko, co miejscowy, niezbyt zasobny, księgozbiór zawiera, a pożyczki u sąsiadów zawiadły. A czytać lubicie — czytacie prędko dużo... I tak wtedy niewiadomo, co z czasem zrobić. „Takim się wynudziła w tym roku”, labiedzi się jesienią po powrocie.

A takby łatwo było podobnych zawodów uniknąć!

Trzeba jechać na lato z pewnym planem (tylko się nie oburzajcie zawczasu!). Wiadomo — odchylenia będą, ale bez planu ani rusz! Chociażby: „Jedziemy do Cioci do Zalesia. Nauczę się stanąć na pływacko, bo Ciocina Irka, jak ryba w wodzie”. Plan spełniony — co za święty plus życiowy! Niespełniony — nie-smak wobec siebie samej.

Albo: „Będę fotografowała typy ludowe, zabytki, wszystko, co ciekawe, osobliwe”.

Młodzię dużo z lata przywozi zdjęć, ale to grupy, i grupy i jeszcze raz grupy, złożone z młodych osób, pamiątki wspólne odbitych wycieczek. A tyle drzew niezwykłych, kwiatów, pla-



„Ayle rodzajom sportu wodnego stoi otworem.”

nym z wodospadów u źródeł Wisły, ale nie zapomnijcie zdjąć i wodospadu samego, dokumentu geograficznego. I t. d. i t. p. Zgóry powiedzmy sobie np. „Tych wakacyj weźnę się do Szekspira. Dużo



ków, głazów, jezior starych wrót, łamów, świronków, osobliwych, płotów, parkanów, ubiorów ludowych, baszt, ruin na uwiecznienie czeka! Dalej, pięknych okazów zwierząt domowych: buhajka, wierzchówki, psów rasowych i t. d. i t. d. A później można zrobić wystawę dorobku wakacyjnego danej uczelni. Miła jest grupa znajomych pod dębem w Gdyni, ale trzeba też zdjąć i dąb sam paręsetletni, jako zabytek; drogie wspomnienia — grupa koleżanek na pniu nad jed-



Spędzimy rozkosznie te 9 tygodni!

machina — zabiorę ją — w roku brak czasu”. Albo: „Wytraszę skąd jaką porządną historię sztuki — nigdy na to niema czasu”. Szczególnie nudzą się na lato utwory duże, dzieła wielotomowe, podstawowe. Przed wyjazdem nie można zapominać o przewodnikach, o jakichś rysie historycznym danej okolicy. Np. jedziemy do Wisły — przewodnik zatem po Wiśle i mniejsza czy większa monografia Śląska. Jak to wyjaśnia, ułatwia poznanie okolicy, zrozumienie obyczajów, zwyczajów miejscowego, charakteru ludności, miejscowych dzieł sztuki, zabytków architektonicznych! Zwiedzanie Pomorza bez mapy dokładnej, opisu przyrody, dzielnic tak różnej od innych — co za absurd poprostu! A bywa i tak: pamiętam zapaloną malarzkę, uczennicę gmuśzjum, która z wielkiej uciechy, że jedzie, że już jedzie nad morze, nie wzięła żadnych przyborów do malowania. Zapomniała.

Nie bieżąc zatem na ostatnią chwilę, dziś już zawczasu przemyśleć należy, jak zamierzamy spędzić spory szmat żywotekniopomoc!!!

Zdarza się też, że ten jakiś wymarzony projekt wakacyjny nie dochodzi do skutku: brak pieniędzy, albo: rodzina chciała inaczej, wyjechała się zupełnie nie tam, gdzie serce ciągnęło. Wtedy marnuje się i to, co jest, na miejsce pierwotnego programu nie robi się innego, zgodnego z rzeczywistością, choć roz-

bieżnego z marzeniem. Dorzuca się w ten zło do zła, zgóry wrogą odnosząc się do „nieudanych” wakacji, które właśnie przez przekurę losu mogłyby się okazać udane, gdybyśmy tylko chcieli je wyzyskać! Może się wreszcie (jakże często) zdarzyć, że nie wyjeżdżamy wogóle. Ale i wtedy, nie trzeba truć się załam, tylko pomyśleć, jak sobie te wakacje w mieście urządzić. O tem właśnie pomówimy w jednym z najbliższych numerów.

J. Gażyńska.

NA OSADZIE

2)

(Ciąg dalszy)

Potem wszystko wnet cichło i nikło. Magda zaś czuła niewyraźnie, że spotkał ją jakiś zawód. Lecz czyż roztrzęsiona dziewczynka mogła bodaj na moment uwierzyć, że samochód skręci na drogę do ich osady, że świecący, zdyszany zatrzyma się na ciasnem podwórzu, jak cudzoziemski, wspaniały ptak, który zbłądził i, rozglądając się przystaje?

A jednak wbrew właśnie temu rozsądkowi Magdzie zdawało się zawsze, że po tym gościliu ktoś do niej jedzie i czekała, mając w sercu radosną obawę, czekała, rzekłbyś, jak mała księżniczka swojego królewicza.

Dzieci już dawno wróciły do zabawek: do lalek z galganków, do pustych pudełek, powiązanych sznurkami, do wiatraczków, wystruganych z białego, lekkiego drzewa.

— Pojechało! — oznajmił Wieś i podniósł triumfalnie papierową chorągiewkę.

Lona przerabiała korpus lalki, skoro



— gdy mogła patrzeć a gościnnie —

światłości, jakichś rojów krótkich i błyszczących, niby drogie materie i kamienie, których nigdy nie widziała. Bo i skądże? Stare sukienki mamy nosiła Magda, z Magdy przerabiała się na Lona, z Lony dawała się czasami coś wykreślić dla Wiesia albo Ladzia i tak ten barchan, ten skromny kretonik wędrował i skracał się, póki nie poszedł na strzępy.

— Boję się — mówił ojciec. — Kto jej o tem mówi? Skąd się to jej bierze. Żeby to czasami na zle nie wyszło.

— Och, tyle ma jeszcze czasu przed sobą — odpowiadała matka i Magdzie się zdawało, że przeciwnie — rada jest z tego. Jakgdyby miała w domu kurkę-złotopiórkę, która samym cudem swego istnienia szarą i ciężką dołą zamieni na tężowy sen.

To dzieliła się potrochu i pomala (wzyskim. Wszyscy chodzili koto malej Lony wczajniej i tklwiew, w jej ciakno, w jej ruchach i uśmiechach widząc talizman.

Magda nie zazdrościła tej aureoli i względów: czy można zazdrościć dziecku? Sama się czuła tyle starsza... Gdy mogła — patrzyła na gościnnie: wciąż tamtędy ktoś jechał, ale nigdy do nich. Czekala naprožno, nie przedstawala czekać, choć, oczywiście, nikt o tem nie wiedział.

III.

Ścianę trzech stanczynek rozszerzyły się, w pokoju dziewczynek w najlepszym miejscu wstawiono trzecie łóżko i przyjechała ciotka Celestia.

(C. d. n.).

musiała być przecieć biała, więc z perkalu.

— Mój samochód będzie dużo większy — rzekła niedbale.

— A kto ci go da? — nieufnie dopytywał się Wieś.

— Mój mąż — odparła stanowczo.

— To jeszcze nic wiadomo, czy będziesz miała tego męża.

— Lona! — wniósł się Magda. — A jeżeli będzie biedny i będzie miał tylko jednego konia?

— Jak szmaciarz! — dodał Wieś i roześmiał się z całego serca.

Lona spojrzła ze zdziwieniem i urazą. Wątpić?! Każde życzenie zdawało się jej stać za progiem i czekać tylko na bliźnięcie palcem. Było ich takie mnóstwo, przychodzili, odchodzili, kręcąc się tam i z powrotem, niby rój pszczoł koło ula. Przychodzili, odchodzili bez żalu. Lona miała w czem wybierać. Wzoraj chciała mieć sukienkę szafi-aksamitną, ze złotemi guzikami. Dzisiaj — samochód. Jutro — gołębnik z gołębiami — to znaczy miała. Jak za dołknięciem wróży — pragnienie stawało się na mglenie oka rzeczywistością i już kaprys Lony nasycił się, już zwracał się gdzieindziej. Ale gdy było malej tłumaczyć, poco takie rzeczy mówi bez sensu, niemożliwe, opuszczała tylko z wdziękiem swoje niebieskawe, szerokie powieki, swoje promieniste rzęsy i uśmiechała się skrycie, a uparcie: gadajcie sobie swoje, a ja wiem swoje.

Głowa tej dziewczynki była wciąż pełna jakichś

...na drodze wodzącej do ich osady...



...że zatrzyma się na ciasnem podwórzu...

ŚWIE TLICE

Jasny, widny, bardzo czysty pokój. Na ścianie kilka obrazków, Stół, ławki, czysmi fortelpan, oto całe umeblowanie świetlicy, miejsca, w którym po wyjściu ze szkoły zbiera się młodzież.

Na terenie Warszawy świetlice zostały zorganizowane przez Związek Pracy Świe tlicowej, Komitet Obywatelski i szereg innych instytucji.

Zwiedzałam świetlice w dzielnicy wolskiej, na Pradze, na Starem Mieście, na Ochocie i wszędzie spotykałam się z ogromnem przywiązaniem młodzieży do ich świetlicy:

— Nasza świetlica jest naj lepsza!

Pomówmy najpierw o świetlicach, zorganizowanych przez Komitet Obywatelski, dla dzieci w wieku od lat 7-miu do 14-tu, przeważnie dzieci

... Gdy nadejdzie wiosna świetlice przenosi się na świeże powietrze.



Zabawa w świetlicy.

bezbrotnych, a w najlepszym razie pracujących fizycznie. Rodzice nie mają czasu zająć się swoimi dziećmi, lub też brak im odpowiednich warunków... I oto społeczeństwo wyciągnęło do ich dzieci pomocną rękę i zaprowadziło do świetlic, gdzie mogą odrabiać lekcje, bawić się, gimnastykować i uspołeczniać. A nie szczęśliwie dzieci, dla których zabrakło miejsca w szkołach powszechnych, uczą się tutaj czytać i pisać. Poza tem wszystkie dzieci korzystają z dożywiania.

W jednej ze świetlic na ulicy Wolskiej, prowadzonej wzorowo, istnieje samorząd, złożony tylko z dzieci. Samorząd wypracował „kodeks karny” za różne wykroczenia. Jak np.: niemycie rąk; wyglądanie przez okno; niezmiękanie bucików na miękkie pantofle (o ile ich nie mają, chodzą po pokoju w samych pończochach) i t. d., chociaż dzie-

ci, na których znać już dobroczynny wpływ świetlic, same dbają o przyswojenie tego zachowania, posłuszeństwo i karność.

Karą są rozmaite, od przebaczenia, aż do usunięcia ze świetlicy.

Jedną z poważniejszych kar jest wywieszenie nazwiska winnego na tablicy, lub podanie go do „gazetki”.

„Gazetka” jest ważną chwilą w życiu świetlicowem. Nie jest piśmie, lecz przyjacielską pogawędką, podczas której kierowniczka omawia różne sprawy, ustnie odpowiada na listy świetliczan i łagodzi zbyt surowe wyroki samorządu. Kierowniczka otrzymuje codziennie wiele listów, wrzucanych do specjalnej skrzynki pocztowej, a których świetliczanie skarżą się lub radzą w rozmaitych sprawach:

„Jestem zbrodniarką polityczną” — pisze 9-o letnia Marysia. „Postawiłam moją lalkę przy piecu i rozpuściła się!” „Niech się pani nie gniewa na Hienię, prosi inną. Hienia obiecała, że już nigdy nie napisze na książkę brzydkich słów”. „Co robić?” zapytuje mały Staś. „Ta-



za pobił się z mamą i nie wiem, jak mam ich pogodzić?”

Świetliczanie otrzymują odpowiedzi „na gazetkę”, chyba, że piszący zastrzegą, aby odpowiedź nie została jawnie ogłoszona.

„Gazetka” jest jednak mniej ważną chwilą w życiu świetlicowem, niż wybieranie samorządu, raz na sześć miesięcy. I kilkanaścioro hałaśliwej, rozrzuconej dziesiątki, która nie jest w stanie usiedzieć na jednym miejscu ani jednej chwili, potrafi zachować ciszę i spokój podczas wybierania samorządu.

Tylko Władzio nie potrafił uszanować uroczystej chwili. Ale Władzio jest wyjątkowo niesforny, nikt nie mógł dać sobie z nim rady i wreszcie samorząd usunął go ze świetlicy, za uderzenie w twarz młodszej koleżanki. Ale po pewnym czasie chłopiec zaczął znowu przychodzić. Początkowo ukradkiem, potem coraz śmielej. I sędziowie przebaczyli winowajcy w swoich młodocianych sercach, bo gdy kierowniczka „na gazetkę” zapytała:

— Czy Władzio może przychodzić do świetlicy?

— Tak! — odpowiedział chór zgodnych głosów.

Najulubieńsze zajęcie świetliczanek stanowi inscenizacja wierszyków, piosenek, a czasami nawet zwykłych obrazków z ich codziennego życia. Na Święta Bożego Narodzenia inscenizowano scenkę, którą hardza wiele dzieci znało z doświadczenia. Dialogi zostały improwizowane przez młodocianych aktorów.

W izbie znajduje się kilkoró dzieci i rozmawiają o choince. „Mama posłała po pieniądze do miasta. O ile jej zapłaciła, kupi nam choinkę” mówi mały chłopiec. „Chyba masz pod nosem świeczkę?” wola pogardliwie inny. W międzyczasie wraca matka, lecz nie przynosi pieniędzy. Następuje krótka chwila smutku. „To nie nie szkodzi!” wola mały świe-

tlizanka. „Pójdziemy na choinkę do świetlicy!”.

Nawet w inscenizacji świetlica odgrywa rolę domu!

Następna scena odbywa się w świetlicy. Zapalają choinkę, dziewczynki śpią-wają kalendarz, chłopcy wykonywają charakterystyczne, ludowe tańce.

Podobnych inscenizacji jest bardzo wiele i dzieci odgrywają je zawsze z wielką radością.

Na wiosnę świetlica przenosi się na świeże powietrze, gdzie dzieci mają możliwość oddawać się sportom, nie zaniedbując swoich zwykłych zajęć. W zimie, kilka razy w tygodniu, wychodzą pod dozorem kierowniczki na pobliski cmentarz rosyjski, gdzie bawią się piłką. I takie przechadzki są witane z wielkim zadowoleniem. A w lecie wyjeżdżają na półkolonie do Wierzbna, gdzie przebywają codziennie od 8-jej rano do 5-jej pp.

Gdyby moje czytelniczki chciały się zainteresować świetliczanami... Gdyby zastanowiły się przez chwilę, w jakich warunkach żyją i mieszkają te dzieci! Nie będą mówiły o pomocy materialnej, o książkach, których jest za mało, o grach, których nigdy nie starczy! Moećcie wiele zdziałać i na innym polu, poświęcając jedną godzinę dziennie małym obywatelom. Dzieci przychodzą do świetlicy często w podartych sukienkach, ich głowy nie są zawsze czyste... Iglą, nici i grzebieli przeistoczyłyby za niedbanie, brudne i nieczyste na zupełnie inne stworzenia! A ileż dalaby indywidualna rozmowa dzieciom, które się często wychowują na ulicy!..

Związek Pracy Świetlicowej stworzył inny typ świetlic.

Każda świetlica jest czynna cztery razy w tygodniu. Młodzież jest tutaj starsza, od 13-go do 18-go roku życia, rozdzielona w świetlicach według wieku. Nie jest dozwolona i nie odrabia w świetlicach zadanych lekcji.

— Mammy dosyć nauki w szkole! — wolają młodociane lenie.

Dziewczęta uczą się zżyć i haftować, chłopcy pracują w warsztatach. Poza-tem rozmaite gry, chóry, sporty i inscenizacje. Młodzież dba więcej o zewnętrzny wygląd, jest starsza i stosunkowo zamożniejsza. Powtarzam: tylko stosunkowo, gdyż nie każdy członek jest w stanie zapłacić składkę, wynoszącą 35 gr. miesięcznie.

Mamy świetlice „Orląt” na Wolskiej; „Jaskółek” na Pradze; „Promień” na Starem Mieście i wiele innych.

Inszenizacje mają taki sam charakter jak i w świetlicach Komitetu Obywatelskiego. Odbywają się i większe imprezy teatralne, a niektóre zostały nawet odegrane w Ateneum. Ale pomysłów młodzieży jest mało. Nie wybiega poza ramy znanych jednoaktówek, a w najlepszym razie szraad. To też kierowniczka sama podpisuje tematy, podobnie, jak i w świetlicach dla młodszych dzieci. Aktorzy obywają się bez kostiumów. Czasami wystarcza przykrycie głowy, lub efekt świetlny; a jeżeli kostiumy są niedozwolone, wykonywa się je domowymi środkami.

Ograniczona pomysłowość daje się zauważyć również w doborze gier. Powtarzamy ciągle „stary kawaler” lub „listonosz” — przestaje być zabawnym, lecz chce wprowadzenia innowacji, spotyka się często z oporem i niedowierzaniem: — To będzie pewnie nudne...

W lecie świetlice organizują wycieczki i wyjeżdżają na kolonie i obozy, gdzie młodzież, za minimalną opłatą, oddycha przez szereg tygodni świeżym powietrzem, oddaje się rozrywkom umysłowym, połączonym z grami i sportem. Często też w zimie świetlice urządzą wycieczki za miasto i do różnych urodoków, jak do fabryki, na wysławę, t. d.

Alle troska o chleb powszedni często zabija inne zainteresowania.

— Chodzę do warsztatu i robię szkółki — opowiada 14-o letnie „Orlą”, — Zarabiam 25 gr. od sztuki!

I wszystko błędnie w porównaniu z radością zarobionych pieniędzy, gdyż wśród świetliczan znajduje się sporo młodzieży, pracującej zarobkowo, a w obecnych czasach, niestety, bezrobotnej.

Pogadanki są prowadzone przez kierownika na tematy estetyczne - wychowawcze, kulturalne, przeczytanych książek i t. d., ale nie cały zospół świetlicy interesuje się nimi.

— Znowu szkoła... — słysząc niezadowolone głosy.

Na gruncie świetlicowym tworzą się kółka samokształcące, starsza młodzież wydaje gazetę, redagowaną przez komitet redakcyjny świetliczan p. t. „Ognisko Świetlicowe”, ale naogół młodzież niechętnie czyta i chce rozrywek dominuje ponad innymi zainteresowaniami. To też z biblioteki korzysta stosunkowo mała garstka. I książka w niewielu wypadkach jest przyjacielem...

Podaję nam, moje czytelniczki, szereg adresów świetlic Komitetu Obywatelskiego, jak również nazwiska ich kierowniczek, którym udzielił wam wszelkiej informacji, twczących się waszej ewentualnej współpracy na terenie świetlicowym:

Praga, Targowa 15, kierowniczką p. Łożnicka, od 9 rano do 5 pp.

Opaczewska 3-a, Gmach Wolnej Wszelchni, kierowniczką — p. Heltbergowa, od 12 — 7 i pół pp.

Wolska 86-a, kierowniczką, p. Majemsku, od 9 rano do 5 pp.

Jeżeli was zainteresuje praca świetlicowa, napiszcie o niej „Świat Dziewcząt” chętnie wydrukujemy wasze wrażenia, bądź w formie artykułów, bądź reportaży.

St. Osina.

BRATNIE

Kochane Czytelniczko!

Mam lat 16, chodzę do prywatnego gimnazjum w Poznaniu. Mam dwóch kuzynów, nie które są nawet bardzo kochane, lecz nie mam żadnej prawdziwej przyjaciółki, o której marzę. Może wśród Was znajdzie się również która w polskim domu i zechce korespondować ze mną. Uwielbiam muzykę, teatr, kino, niezmierznie lubię czytać ładne książki, na i naturalnie „Świat Dziewcząt”. „Anet”.

Do „Bratnich Duszy”!

Kto chce ze mną korespondować?

Mam lat 13, jestem w IV kl. Mam dwa ciemne włosy, siwe oczy, jasną cerę, dwie ręce i dwie nogi do ziemi. Kocham wiosnę, kwiaty, lubię sporty (uprawiam: tenis, ping-pong, narty, łyżwe, sanki, gływam, jazdę konną i na rowerze, skoki, biegi, siatkówkę, haseg i t. d.), kino, teatr, „Świat Dziewcząt”, tańce, wycieczki, lubię występować, za wyjątkiem tego, czego nie lubię. Kto zechce ze mną korespondować, niech napisze do „Bratnich Duszy”, lub do Redakcji, gdzie jest mój adres. Ani.

Do „Bratnich Duszy”!

Mam lat 18, jestem studentką i roku U. W. Bardzo lubię, nie przyjaciółki dziewczyny, przy-jaźni nie polgarnęcej na przesłanianie miliona-chałuski i t. p., ale na miłotwie pełnem wzajemnem zaufaniem i zupełnej szczerości. Cieszy-łabym się, gdybym w którejś z „Bratnich Duszek” znalazła takiego serdecznego druhna.

Mój adres: Uniwersytet Warszawski, ul. „Marchy”,

Prusze bardzo Wiochne z działu „Bratnie duszy” z Nr. 13 o podanie swego adresu i mniej-wiekszy wieku w celu prowadzenia korespon-dacji. Gula K.

„Wiochona” jest proszona również o powtó-rze przysłanie swego adresu do redakcji Sw. Dz., gdyż podany adres był i niewyraży i latami, że listy, przesyłane „Wiochne” za pośred-nictwem Redakcji nie dochodzą do miejsca przeznaczenia.

Kochane Bratnie duszydzki!

Piszcie wszystkie, proszę Was o to dwie weślole i bardzo miło isłoty.

Mamy lat 12. Chodzimy do drugiej klasy gimnazjalnej. Jesteśmy wielkie gaduły, lubimy bardzo chodzić do kina i czytać ładne książki. Jednak nad wszystko w świecie uwielbiamy „Świat Dziewcząt” i „Włoskie lody”, na które chodzimy codziennie. Umieamy trochę francu-skiego i chętnie korespondowalibyśmy w tym języku (naturalnie też z niezadno umiejacimi). Uprawiamy wszystkie sporty, a mistrzyniami jesteśmy w fikaniu koziołków.

„Liedvige et Madeleine”!

Chętnie korespondowalibyśmy z Wami.

Napiszcie nam tylko swoje upodobania.

Podaję nam się też „Wawa” i „Baja”, lecz nie wiemy czy takie duże” zechcą korespon-dować z takimi „smarkułami”. „La” i „Ja”.

Kochany „Sioutku Dziecząt”!

Nareszcie się odważyliśmy do Ciebie napi-sać. Miesiąc temu, gdyśmy się strasznie nudziły, mademoiselle Luiza zaproponowała nam, byśmy

napisały do jakiegoś pismka. Bardzo się nam ten projekt podobał, ale nie miałyśmy odwa-gy go wykonać, nareszcie dzisiaj zdobyliśmy się napisać ten list.

Najpierw opiszemy Ci „Światki” kochany, siebie. Jesteśmy bliźniaczkami, mamy po dwana-ście lat, lecz nie nazywamy się Nina i Lili. Mamy czar-ne, jak węgiel, włosy i granatowe oczy, tak jak nasza Mamusia, która jest Włoszką, my też urodziłyśmy się we Włoszech, w Neapolu, ale od czwartego roku życia mieszkamy w Łodzi. Na przeważ rok może już pójdziemy do szkoły, bo dołąd uczyćmy się w domu, a przechodzimy kurs trzeciej klasy. Pierwszego czerwca jedzie-my z mademoiselle do Mamusi, która obecnie bawi w Tyrolu. W Innsbrucku zatrzymamy się tydzień, a następnie jedziemy do Neapolu do babci, zahioramy naszą piętnastoletnią ciotecę, Giovannę, i jedziemy razem na Sycylię, do Taorminy, gdzie przeważnie spędzamy wakacje. Chcielibyśmy korespondować z dziewczynką w naszym wieku, która podróżowała poza gra-nicami Polski, która lubi „Świat Dziewcząt”, kino, Brodzisza, Ramona, Marlene i Lilijskie.

My bylibyśmy już we Włoszech, we Francji, w Danii, Jugosławii i Szwajcarii. Która z Czytelniczek „Świata Dziewcząt” zechce podzielić się z nami swoimi wrażeniami z pobytu zagra-nicą, niech napisze na post-reste-landu. Łódź, Lili i Lili. Z niecierpliwością oczekujemy listu. Można do nas pisać po polsku, francusku, wło-sku, niemiecku; angielskiego uczyćmy się dopiero rok i nie umiemy jeszcze dobrze nim władać.

Zasłamyśmy ukłony dla „Świata”

Nina i Lili.

DZIELNA DZIEWCZYNA!

W międzynarodowym meetingu lotniczym, który odbył się dnia 24-go i 25-go maja, wzięły udział trzy polskie lotniczki: p. Marja Tomaszewska z Poznania, p. Elizabeth Pauli z Pomorza i p. Wacława Czyżewska, warszawianka. P. Czyżewska jest młodszą panną, średniego wzrostu, bardzo ładną, jasną blondynką, o krótko obciętych włosach i dużych, niebieskich oczach. Stała koło swojego samolotu, przyglądając mu się z badawczą miną.

— To jest angielski samolot „Moth”, na którym polećę z inżynierem Jagoszewskim — objaśniła mnie.

Jestem ciekawa, co skłoniło p. Czyżewską do poświęcenia się lotnictwu.

— Marzyłam o nim od wczesnego dzieciństwa — opowiada. — Przypuszczam, że podziałabym na mnie rozmowy z bratem, który służył wtedy w wojsku i był lotnikiem. Ani na chwilę nie zapomniałam o pragnieniach i gdy tylko warunki pozwoliły, zapisałam się do Warszawskiego Aeroklubu. To było dwa lata temu. Dopiero dwa lata!

— Jaka będzie trasa lotu zawodników? — pytam.

— Polećmy z Warszawy do Częstochowy, stamtąd do Lublina, Dębina, Białej, Brześcia, Łodzi i z powrotem do Warszawy.

P. Czyżewska opowiada mi o swoich egzaminach, poprzedzających otrzymanie dyplomu pilotki.

— Węć najpierw egzamin teoretyczny w Ministerstwie Komunikacji. Spędziłam bezsenne noce nad aeronawigacją, meteorologią, budową płatowców, silnikami i prawem lotniczym. Ale egzamin zdałam! Przedtem jeszcze zdałam egzamin praktyczny, t. zw. „warunki” na lotnisku. Ale był on o wiele łatwiejszy od teorii. Musiałam zrobić „płatowcem „osemkę”, „spiral”, „epingle” potem krótki przelot i stałam się prawdziwą lotniczką-pilotką! Szalałam wprost z radości.

Z przyjemnością patrzę na p. Czyżewską, gdy mi opowiada o swoich egzaminach. Kocha lotnictwo i z łatwością przezwyciężyła wszystkie trudności.



Pani Czyżewska uśmiecha się...

związane z otrzymaniem dyplomu. Podczas naszej rozmowy oczy jej błyszcza energią i zapałem.

Z kolei przenoszę mój wzrok na błyszczący samolot. P. Czyżewska uśmiecha się.

— Pani się pewnie dziwi, że nie mam żadnej mascotki? — pyta i dodaje z zakłopotaniem. — A jednak jestem bardzo przesadna. Mam jedną parę pantofli, która mi przynosi zdecydowanego pecha. Za każdym razem, gdy je kładę, maszyna zaczyna kaprysić, staje się nieposłuszna. Żadna inna część garderoby nie oddziaływała na samolot. Ale właśnie te, nieszczęsne pantofle... Ale dzisiaj ich nie włożyłam. O nie!

P. Czyżewska marzy o laurach zagranicznych lotniczek. I jej się śnią przeloty nad Oceanem, branie udziału w Challenge'ach...

— Ale do tej pory nie jeszcze nie zdziałalam — wzdycha — nie posiadam dostatecznego treningu, koniecznego do większych przelotów, gdyż na przeszkodzie stoi brak funduszy.

Okazuje się, że latanie jest bardzo kosztownym sportem. Benzyna, amortyzacja maszyny, obsługa, ewentualne uszkodzenie samolotu i t. d. Ale p. Czyżewska nie traci nadziei, że uda się jej dokonać czynów, które unieśmiertelniają imię polskiej lotniczki!

P. Czyżewska nie tylko jest lotniczką. Plywa, gra w tenisa, jeździ na nartach, prowadzi samochód, skończyła W. S. II i pracuje w P. K. O.

Czy nie dzielna dziewczyna?

Wzrost samolotu staje się coraz głębiej. Niezadługo p. Czyżewska pożegna mnie, gdyż zbliża się godzina startu.

— Jeszcze jedno pytanie. Czy pani nie odczuwa leku w powietrzu? — pytam.

Jestem zszokowana jej odpowiedzią, gdyż spodziewałam się odpowiedzi przeczącej na moje pytanie. Ale rychło okazuje się, że zaszło między nami nieporozumienie. Mnie interesował lek o własną osobę. P. Czyżewska jest zajęta wyłączną całością samolotu, na którym lata.

Muszę ciągle uważać, aby tylko nie uszkodzić maszyny. Dbam o nią, jak o moje najukochańsze, najmiłsze dziecko. Nasz Aeroklub nie jest taki bogaty, aby móc sobie pozwolić na niszczenie lub łamanie samolotów. To też stale drzę o całość mojej maszyny.

— A o siebie?

P. Czyżewska wzrusza ramionami.

— Niech mi pani wierzy, że czuję się w powietrzu o wiele pewniej i bezpieczniej, niż w samochodzie, a nawet autobusie.

Dzielna dziewczyna!

P. Czyżewska bierze udział w Meetingu Lotniczym na samolocie jasno srebrnym z niebieskimi obwódkami. Pewnie widziałyscie w dniu zawodów pięknego, srebrnego ptaka, który śmiało wzbijał się w powietrze? Prowadziła go jedna z naszych rodaczek, warszawianka, i jestem pewna, że wasze życzenia towarzyszyły jej przez całą drogę.

St. Ostrowska.

NAJPIĘKNIEJSZA Z WYSP

Przelatwa się w ptaszych gardziółkach, przesiera promieniami przez drzewa, fiołkowieje w heliotropach, fiołkach i nią szumi miosenna ulema.

Na strumieniach się pieni i syczy, burzę kładzie pod końskie kopyta —
— Nie, nie — mówi z siłą buntowniczą, jeśli głos niedyskretny zapyta.

— Tak, tak — woła w noc, — będę szczęśliwa
obrero serc starych niezdarniej herezji —
tylko trzeba pragnąć, chcieć, zdobywać
mnie, czarowną myszę Polinezi.

M. Czerkaroska.

Teresa szuka piękna



z których każda posiada kilka działów. Wszystkich działów jest kilkanaście m. in. rawniczyzna, bieleńiarstwo, modniarstwo, czapnictwo, trykotarstwo, hafciarstwo, kamasznictwo, introligatorstwo, jubilerstwo.

Tu masz spis najważniejszych szkół, przewyżająco najwięcej teraz, bo ja chcę się dowiedzieć skąd pochodzą te wszystkie słowniczki.

Teresa, przecieżta wzięła się do odczytywania: *Hydrotechnika, ulica Gdańska 67, Średnia Szkoła Zawodowa żeńska T-ma Popierania pracy za wodonośnymi kubit.*

Częstochowa, ul. P. Marji 66, Żeńska 7-mio kl. Szkoła Przemysłowo-Handlowa Zgrom. SS. Zmarłych Instytut Państwowy.

Katowice, ul. Krasińskiego, Szkoła Zawodowa Żeńska T-ma Pola Kraków, ul. Spółdzielni 21, Państwowa Szkoła Zawodowa Żeńska, ul. Szpitalna 10, Średnia Szkoła Zawodowa

Żeńska Zgrom. PP. Kanoniczek, im. Duchas — ul. Grodzka 56, Szkoła Średnia Zawodowa

Żeńska Zgrom. PP. Klarysek przy kościele im. Andrzeja; Lublin, ul. Żmigrod 3, Państwowa Szkoła Przemysłowo-Handlowa Żeńska. Lwów, ul. Zielona 8, Państwowa Szkoła Zawodowa Żeńska: — ul. Leona Sapiehy 30, Szkoła Zawod. Żeńska Zgrom. SS. Opalarniaki Bożej; — ul. Długosza 17, Szkoła Zawod. Żeńska Zgrom. SS. Bazyljanek; — ul. Żadmirzańska 70, Szł. Zawod. Żeńska wyróbina galanterijnych T-ma Sz. Zawod. Łódź, ul. Narutowicza 77, Państw. Szkoła Przemysłowa Żeńska: — ul. Kopernika 11, Państw. Szk. Przemysł-Handl. Żeńska. Poznań, ul. Marz. Focha 2, Państw. Szkoła Handl. i Przemysł. Żeńska. Toruń, ul. Sirumyńska 4, Państw. Szkoła Zawod. Żeńska. Warszawa, ul. Górnośląska 31, Państw. Szk. Przemysł-Handl. Żeńska; — ul. Warbuta, I Miejska Szkoła Rekodzielnicza; — ul. Filharmonii 61, II Miejska Szkoła Rekodzielnicza. — ul. Białostocka 4, III Miejska Szkoła Rekodzielnicza. — ul. Lipowa 14B, Szkoła Zawodowa Żeńska p. m. Sm. Teresy, Zakładu Wychowawczego dla dzieci. — ul. Teresińska 9, Średnia Szkoła Gospod.-Zawodowa im. Kr. Jachowicz Stom. Opieki nad Dzieciwetkami p. m. Sm. Józefa.

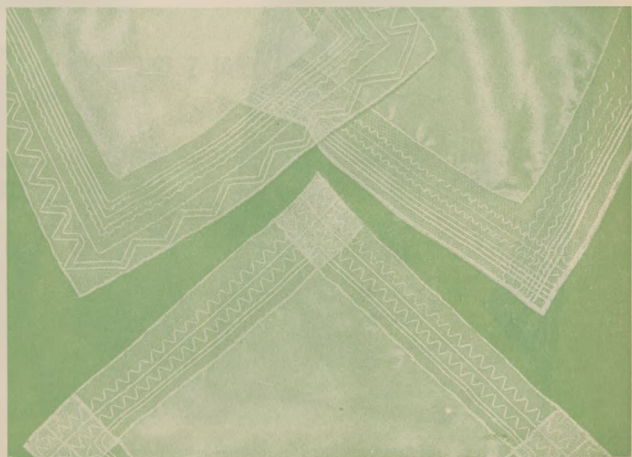
Włocław, ul. Białostocka 10, Państw. Szk. Przemysł-Handl. Żeńska im. E. Dmochowskiej. Narazie, Teresa uczyniła dość niepraktykowany wyłom w swych obowiązku i wpadła w ciąg dalsi do Kasi, aby podzielić się z nią pobieżnymi wiadomościami. Byłam na wystawie Kasi, ale o tem pomówimy w niedziele, bo teraz nie mam czasu. Chciałam ci tylko powiedzieć, że się zdecydowałam. Szkołę rekodzielniczą. Nie wiem jeszcze, która, bo muszę się zastanowić, jakie działy odpowiadają mi najwięcej. Narazie informacje ze Szkoły, przy ul. Górnośląskiej — posiada ona działy krawiecki, modniarski i introligatorski. Nauka trwa 4 lata, opłata wynosi 120 zł. rocznie. Aby być przyjętą trzeba mieć 6 lub 7 odziesiątów szkół powszechnej, oraz przejść przez budowania psychotechniczne. To wszystko. Po skończeniu — samodzielna pracownica, poszukiwana przez wszystkie pracownice wykwalifikowaną siłą. Uposażenie podobno nieźle. Tak, Kasia, już postanowione. Jeszcze lato, a potem — praca Kasi, jestem szczególnie... Tak zaczynało się nowe życie Teresy.

St. Szurlejówna.

staw, ale jakos na te dalaś się skusić i jestem zadowolona. Nie mogłam wyjść z tej wystawy — znajduje się tam wszystko — suknie, kremlony, piżamy, płaszcze, bielizna, kilimy, poduszki, torbki, kapelusze, korale, koronki, paski, biżuterje, oprawy książek i t. d. i t. d. I co za pomysły! Przede wszystkim, co na żadnego z eksponatów nie może przewyżać 25 zł. (całe kosztujemy, kilimy, pomysły), a czas wykonania go 24 godzin. Poziem, jak sama nazwa wystawy mówi, wszystkie materiały muszą być krajowe. Nie wybiorały sobie czegoś to dziewczęta nie powymyślały, np. niema paciorków krajowych, ale zato są ziarna słonecznika, ogórków, dyni, groch, soczewica, więc dalej, zastąpić niemi szklane świeczniki, i co za efekt! Torbki, naszywanych temi „paciorkami” nie powstaładziaby się żadna elegancja. A koralki na szyje, wiesz z czego zrobiono? — z makaronu. Tak, z kupnego makaronu, odpowiednio farbowanego. Albo te przedzielne paski i całe komplety płaszczy, składające się z torbki, kapelusza, pantofli i paska, zrobione ze zwykłego, ordynarnego sznurka. Rzeczy poprostu niebyswałe, mówię Ci. Zaczęła sama zresztą te urocz. płócienar, czy inne sukienki, te maste knonki, kombinowane z najpróżniejszych nici, np. bawelnianych i llnianych.

Nie będą ci już więcej opowiadać, gdyż i tak musisz to jednak przedzie obejrzeć.

Narazie jeszcze tylko jedno. Jako dobra przyjaciółka, odrazu na miejscu, na gorąco zebrałam trochę informacji dla ciebie, resztę musisz sama uzupełnić. A więc — wszystkie te cuda są wyrażane w szkołach rekodzielniczych.



Z PUBLICZNOŚCIĄ — I BEZ NIEJ

Małeńka gwiazdka Jadzi Andrzejewskiej rozbiła na firmamencie Warszawy wraz z pojawieniem się zwykłych, pospolitych afiszów, oznajmujących, że Teatr K. Adwentowicza wystawia dziwną sztukę Krystyny Winsloe „Dziewczęta w mundurkach”.

Jadzi powierzono główną rolę.

I nagle małeńkiej gwiazdecce dorósł obrym, ognisty ogon sławy. Gwiazdka przeistoczyła się w komętę. Jadzia Andrzejewska — to fenomen! Jadzia Andrzejewska — to talent z Bożej łaski! Rozkazywała się stugębnie opinia stolicy. Wszyscy biegli obejrzeć to cudo! „Dziewczęta w mundurkach” długi czas były grane przy wyprzedanej sali. O to też chodziło głosicielom Jadziny sławy, bo o nią samą nikt nie zatraczył się wyłącznie. A ona co wieczór grała swą ciężką, emocjonującą rolę: co wieczór dawała ludziom cząstkę swej duszy, na pastwę ich przeżyć... wzamian za okłaski. Skąd się wzięła ta Jadzia Andrzejewska? Jak ta pensjonarka ze sceny wygląda w rzeczywistości?

Oto stoi przedemną drobna postać na tle literackiego studja w Polskim Radjo. Za chwilę będzie próba słuchowska. w którym Jadzia gra.

Delikatna. jakby mglista w konturach buzia, okolona jest jasnymi włosami. Drobne rączki, wąskie ramiona robią raczej wrażenie wątłego dziecka, aniżeli dorosłej panny. Jadzia ma lat

osmnaście — co z dumą podkreśla. W jej pojęciu to jest już taka ilość lat, która musi wzbudzać szacunek.

— Tak się niecieszyłam, jak mi pani Tatarakiewicz zatelefonowała, że będę grać w słuchowisku, że pocałowała mnie słuchawką.

Głos jej brzmi miękko i srebrzyście.

— Tak pani lubi mikrofon?

— Nie to. Tylko już bardzo dawno nie gram, a ja bez teatru żyć nie mogę.

— No zaczynamy próbę — brzmi rozkaz reżyserki.

— A czy od razu już grać, czy tylko łapać ton? — zapytuje Jadzia podnosząc jasne, błękitne oczy na swego par-

ternera. Przyglądam się Jadzi. Jest prosta i swobodna. Bez cienia pozy lub manjery. Niezmiernie wrażliwe ma ucho na każdą reżyserką uwagę. W głosie wydobywa zawsze nutę prawdziwej szczerości. Nie wiadomo, czy ona wchodzi w rolę, czy rola zgadza się z nią głęboko. Jest sobą.

Po próbie wyciągam Jadzię na pogawędkę. Chcę ujrzeć w niej człowieka — nie artystkę.

— Co jest pani największym umiłowaniem, panno Jadziu?

— Teatr. sztuka — odpowiada bez namysłu.

— No, to chyba pani jedna na świecie jest szczęśliwa bez zastrzeżeń?

— Jakto? Dlaczego?

— No, bo rzadko komu tak szybko urzeczywistniają się marzenia. Jest pani prawie dzieckiem i już jest pani artystką i to sławną.

Jadzia patrzy na mnie niezdeterminowanie.

— Jak gram, to jestem naprawdę szczęśliwa; ale gdy grać przestaję — to nie zawsze. Bo ja to się już urodziłam do teatru.

— ?

— Urodziłam się w Łodzi. Matka moja pracowała tam w teatrze. A ja, gdy miałam siedm tygodni — to grałam podobno krzycząc niemowlę. I nawet nie trzeba było dawać mi klapsa. Ja tego nie pamiętam — zapewnią pośpiesznie.



Jadzia Andrzejewska — delikatna buzia okolona jasnymi włosami.

— No, tak. Trudno karierę artystyczną wcześniej zaczynać. A jak daleko sięga Pani pamięcią do początków swej pracy teatralnej, bo już teraz jestem pewna, że w „Mundurkach” pojawienie się pani nie było początkiem.

— O nie, ja w Łodzi „mam swój repertuar”. Gdy miałam lat siedm, grałam „Zabusię”, potem rolę tego suchofnika w „W dwóch malcach”, a mając lat dwanaście, byłam małą Mytyll w „Błkniwym Ptaku”. Materlinka. Z tej roli też pamiętała mnie p. Grywińska, która wtedy grała „Światłość”; bo to właśnie ona sprowadziła mnie do Warszawy, abym próbowała „Mundurków”. Ale się zastrzegła, że to warunkowo, jeśli dobrze pójdzie...

— No i poszło dobrze! A teraz, gdy „Mundurki” się skończyły, co pani robi?

— Teraz jestem zaangażowana przez dyr. Krzyżoszewskiego do Teatrów Miejskich na rok. Przyznano mi stypendjum i co najgorsze, nie nie robię. Ni gdzie nie gram.

— To przecież wspaniale, może pani pracować nad sobą. Uczyć się, studiować.

Właśnie to najgorsze, że nie mogę. Bo jak gram w teatrze, to nie mam, ani czasu, ani sił uczyć się czegośkolwiek. A jak mi nie dają roli, to się gryzę, że się pewnie już skończyłam, że już nie potrafię. Bo ja wiem dobrze, że umiem tak mało.

— O! nastroj taki nie jest dobry ani dla rozwoju talentu pani pożądanym. A e

skoro pani odczuwa samą braki swego wykształcenia, czyż nie najprościej zacząć się uczyć?

— Ja już nie mogę, bo już nie umiem nagiąć się do systematycznej nauki. Ja wiem, że mnie teatr wykołubił, bo za wcześnie zaczęłam.

— A co będzie dalej, w przyszłości? — nacieram niemiłosiernie.

Błękitne oczy Jadzi Andrzejewskiej plochliwie unikają mego spojrzenia. Wylamuje sobie nerwowo drobne paluszki, a ramionka jeszcze niżej opadają ku przodowi.

— Ja się tak boję myśleć o Jutrze.

— A jednak trzeba, jeśli się nie chce ograniczyć swej kariery do „młodownego dziecka”. Bo co dziś wystarczające jest dla Jadzi Andrzejewskiej — to dla Jadwigi będzie niezem.

— O, to jest dla mnie najstraszniejsza! A przecież, i ja i moi najbliżsi tak się modlą, tak chcą, aby coś z tego wyszło, aby ja doszła do czegoś... Ale ja mam dwie męki w życiu. Ta ciągła rozterka, gdy gram i gdy nie gram, która nie pozwala mi nie robić. I ludzi! Zadużo znam ludzi, a przedewszystkiem dorosłych. Żadnej młodej panience nie życzę, aby miała okazję poznawania tyłu, tyłu różnych ludzi. To tak drażni i rozprasza. A ja wiem dobrze, że nigdy nie miałam, ani mienych postanowień, ani silnej woli.

— A czy sława i ludzkie pochlebstwa nie sprawiają pani zadowolenia?

— O nie! One mnie boli, bo ja się

czuję, jak wystykana palcami, jakbym była pośmiewiskiem. Przecież i pochlebstwem ludzie często dokonają.

— No, a jakże wiedziałaby pani inaczej, czy gra pani dobrze, czy źle?

— Wierzę tylko reżyserowi i to mi wystarczy i takim dla mnie wspaniałym reżyserem jest p. Modrzewski. Z nią, tylko z nią chciałabym zawsze pracować. A pozatem — czuję publiczność.

— A więc odnalazła pani już kontakt, istniejący pomiędzy sceną i widownią? A co mówi tremą?

— Trema?... Jest. Ale potem znika. Właśnie pod działaniem tego dziwnego uczucia.

— A mikrofon pani lubi? Tu przecież nie ma publiczności?

— Lubię radio. A publiczność jest. Bo ja jej widzieć nie potrzebuję, ja ją odczuwam.

Patrzę na tę artystkę z Bożej łaski i żal mi jej sploszonego dzieciństwa i młodości, pełnej rozterek i przeżyć na miarę.

— A co będzie z dalszą nauką?

— Muszę się wziąć, a przede wszystkim koniecznie za siebie. Tyłki, żeby mi ktoś podopieczny wytrwał, bo to tak trudno.

— Trzeba liczyć zawsze tylko na siebie, panno Jadziu, a wtedy ludzie przemożają nieproszeni. I trzeba sobie postawić wielki cel. A więc niech pani podejmie pracę nad sobą w innej umiłowanej Sztuki i dla Sztuki!

— Dla Sztuki! — szepce Jadzia i zamysła się głębioko. *Marja Ankiewiczowa.*



coś smacznego

ŁATWE I NOWE POTRAWY WIOSENNE Z JARZYN

SALATKA WIOSENNA.

Marchewkę surową, kilka rzodkiewek, jabłko, ogórek kwaszony; pokrajane w cienkie plasterki.

Wymieszać, dodać posiekanego szpinaku, soku z cytryny, oliwy, soli do smaku. Podać na liściach salaty. Ubrać posiekany jajkiem lub majonezem.



Salatki Wiosna na talerzu



ORZĘZIAJĄCA SALATKA Z MIESZANYCH JARZYN.

2 ziemniaki ugotowane ostudzone, 1/4 szkl. gwoździ (smieszany, ugotowany lub z puszek). Ogórek surowy, grzyby z zupy. Pokrajaj w mieszadło. Dodać do smaku cebuli posiekanej, soku z cytryny, soli, oliwy. Ubrać na wierzchu drobno pokrajane, miodu marchewką i sietkowym, zielonym koperkiem.

SZPINAK.

1 kg. szpinaku, 4 dk. słoniny, 1 dk. maki. Pół szklanki śmietany, 1 łyżek czosnku. Sól, 2 jajka. Sok z cytryny do smaku. Odciąć korzonki szpinaku, zostawiając łodygi i liście. Wymyć szpinak, złożyć na wrzącej, osolonej wodzie. Gdy się tylko zagotuje, odebrać. Posiekać, rozetrzeć łyżką nie przepuszczając przez maszynkę, bo traci więcej soków, zasmażać słoninę z maki, włożyć szpinak, dodać rozrzuć z solą czosnek. Podduśić medulę, niż 2 minuty. Dodać śmietany i soku z cytryny, zagotować, nie dopuszczając do zagotowania. Ułożyć szpinak na wyłożonym półmisku. Wyrównać brzoje. Wykroić kawałek białego papieru wielkości półmiska ze szpinakiem, wyłożyć nim desecę w formie gwiazdy 5 — 6 ramiennej. Położyć na szpinaku. Przetrzeć na to żółtko z jaj, zdjąć ostrożnie papier, obramować naokoło żółtymi ramionami gwiazdy posiekany białkiem.



ZŁY SKRZYDEŁ

TEOM STEFANJA HEYMANOWA

(Ciąg dalszy).

— Pan jest wyrozumiały...
— Jestem szczerzy i sprawiedliwy.
— Może szef nie będzie z tego zadowolony...
— Koniec wieczny dzieło i usprawiedliwienie.
— Kiedyś Gody zobaczył swego „Kormorana”, swego pięknego ptaka, murzenie całego życia, który, dzieki panu, wylądował na lotnisku w Due, nie wpadając na myśl, aby go gderać.
— Janka, która i propozycja kusiła, wahała się jeszcze.

— Będzie panu towarzyszył — rzekł Lemonnier. — I jeżeli trzeba będzie wysłuchać reprimendy, wezmą to na siebie.
— Kusiłaby Musiałam jeszcze muszę wypróbować — powiedziała dziewczyna z uśmiechem.

— To drobnostka... Jutro, jeżeli pani zechce.
— Ale nie mam ani kasku, ani kombinazy.
— Tego u nas nie brak... Dosłanie panu wszystko, czego panu zapragnie. Czy chce pan zabrać obierze maszynę? Mój samochód jest na dole.

W pół godziny później wysiadali z auta przy przelotnym. Janka poprowadziła przez Lemonniera w stronę do obserwacji hangaru, gdzie spoczywał „Kormoran F”.

Dziewczyna omiotła, stanąwszy przed obrazy samolotem o trzech motorach.

— Jakimś w kolorze czarno-zielonym — barwa płaska, którą imię nosi — rozpostarł dwa skrzydła, szerokie przy nasadzie, zwężające się ku końcówce, które formowały górną część. Część dolna, o wiele mniejsza, przypominała duże piły.

Kształb z duralamium i stali, podziurawiony okrągłymi otworami, niby oczami, z szerokim ogonem o stalowym i mosiężnym uzurczeniu, sprawiał wrażenie czegoś potwornego i prawie groźnego.

Lemonnier, pilgnował, wskazywał na charakterystyczne cechy konstrukcji.

— Klejnot! — mówił. — Do pilotowania — piórko. Przy trzech motorach można osiągnąć 200 km. na godzinę, a może i więcej.

Sercem Janki owładnęło niezwykle wzruszenie.

Dzisiaj uczucia podobnego temu, jakie w czasach bośniowych musiało pobudzać bohaterów do walki z chimera. Ona, która przy tym potworze z metali była karkazem, zwyciężyła go, ujarzmiła i zmusiła do posłuszeństwa. Będzie wróżką, która latorość dyktowała muśnięcie do ułochanego. Będzie Walquiria, zwyciężycielką smoka!

— Wice? — spytał Lemonnier.
— Zgadza się — odparła trochę zachrypłym głosem.

Tego ranka, trzeciego stycznia 1929 roku dziwnie ożywienie panowało na lotnisku Due-les-Vauxelles. Ze wszystkich stron zjeżdżały szeregi samolotów, a wielkie trybuny były przepelnione. Wszystko, co Parcy posiada w dziedzinie sportu lotniczego, było tam reprezentowane; ciekawki dziennikarzy, sportowcy, lotnicy cywilni i wojskowi — wszystko to przysięgło na wieść ogłoszoną w rannych dziennikach, poinformowaną przez agencję Havasa, że „Kormoran F” pilotowany przez panne Janine Bel du Colombel wylądował w Due, prawdopodobnie o godzinie 10-jej rano.

Klemens Durand-Gardel, zawiadomiony o ścieżce ranki o starcie ranki i Lemonniera, zszedł jak sam diabeł. Od południa dziesiątej był na lotnisku, wraz z symem, któremu towarzyszył Fernand. Oraz z jednokrotnym niepokojem oczekiwali przybycia samolotu, ale nie dzielił się swymi wrażeniami, bowiem od dnia, kiedy

Fernand był z Janką w Operze, jakie przysmus wkładni się między przyjaciół, którzy stali się dla siebie znajomymi i dalecy.

Piotr, stojąc obok ojca, spoglądał ze ściśniętym sercem na olbrzymi błękitny teren, pokryty kaluzjami, które powstały cienką warstwą lodu, gdyż w nocy był przymrozek.

— Ładownie nie będzie najłatwiejsze — mruknął — to zamarnie kaluże nie wróć na dołóg.

— Na szczęście, zaczęła się odwidła, słońce wyglądało nieświeżo. Oczywiście, nie można się po tem trochę, jak po stole błędowym, ale niebezpieczności może być mniejsze, niż przypuszczasz — odrzekł ojciec.

W każdym razie przyznajcie, że dziewczyna ma tutej durnych Fernand z ukrywaniem akcentem dumy.

— My z ujem odwróciłyśmy to wcześniej od ciebie — odparł Piotr. — Nie jest to dla nas

Powiedział to tak sucho, tonem tak niezgrabnym, że Fernand tylko wyjął wargi. Chciał odpowiedzieć, może nawet coś ostrego, gdy nadbiegł mechanik.

— Telefon z Vernon, proszę pana. Mówią, że wielki samolot, pewnie „Kormoran” lata nad

— To pewnie on — powiedział Durand-Gardel. — Vernon to miasto rodzinne Lemonniera, nie mógł więc, odpowiadając przymiennie, swą prędkością przelatywać tamtędy.

Oczekiwano stawało się groźniejsze. Wszęś się tłoczyli się do Durand-Gardela... Wreszcie rozległ się okrzyk, prawie jednolity:

— Oho! Wielki samolot zarysowywał się fioletowo we mgle zimowego poranka. Lecz nieśmiało, na wysokości 300 metrów i dziewczęcy furtok jego trzech śmigieł napędzał powietrze akordem muzycznym o niezwyklej sile.

Zaczęła kręgi, zmieniała kierunek, opuszczając się to na jedno skrzydło, to na drugie — ze wspaniałą pewnością, precyzją i elegancją.

Klemens Durand-Gardel przyglądał się tym ewolucjom „Kormorana” a w tem spojrzeniu koncentrowało się całe jego życie.

Ach, wspominała dziewczyna — rzekł wreszcie głosom drżącym ze wzruszenia.

Tymczasem „Kormoran” zmżył lot, poczem gładko wylądował, o sto metrów przed trybuną.

Śmigła jeszcze się kręciły, kiedy tłum rzucił się ku aparatowi.

Pod lotniskiem zimowym słońcem rozpostarła swe olbrzymie skrzydła, błyszczące od kapieł we mgle; jego wielki kadłub, niby potwór, pokonany przez czystą wolę, połączoną, niż jego siła, zdawał się jeszcze oddychać ciężko, po długiej i uciążliwej walce.

— No! — szefiel jak się panu podoba niespodzianka? — wołał radosny głos.

W drzwiach kabiny ukazał się Lemonnier, wycmachując ręką w stronę Durand-Gardela, któremu Piotr i Fernand ustąpił z drogi.

— Istotnie, wice! — wyśmiał. — Dziękuję ci, stary! — wołał Durand-Gardel. — Gdzie Janka?

— Jestem tutaj, szefie — odpowiedziała wesoło.

Przygotowała nowe oważenie.

— Brawo! Hip! Hip! Hip! Hurra!...

Niech żyje Białoskrzydła! wołał Fernand z całych sił.

Okrzyk powtórzony przez pięćdziesiąt tysięcy esolomil dziewczęcy. Nie oczekiwano takiego nagłego tryumfu, a żona, z jakim ten niewielki tłum składał jej hołd, trochę ją przestraszył.

— No... Janko... niech pan wysiada... — rzekł Lemonnier. — To pani przypada ten zaszczyt... Usunął się na bok.

Janką lekko wyskoczyła... Ale nie dotknęła ziemi. Porwała ją dwadzieścia solidnych ramion, uniosła ją w górę, i tada nie rada, znalazła się na ramieniu pewnego dziennikarza-sportowca, olbrzymiego chłopca, dwumetrowej wysokości, który ruszył w pochód, wykorzystując raz po raz:

— Oho ona! Niech żyje Białoskrzydła!

W ten sposób doniósł ją do budynków biurowych. Fernand był tym, który pomógł jej stanąć na ziemi. Błaho, zmieszana, rozczmierniona, nie wiedząc kogo najpierw odpuścić, Janka, na chybili trafił, ścisła wyciągnięcie ku niej dłonie.

— Chodź, chodź! niech się uścisnąm, moja córko! — rzekł Klemens Durand-Gardel, podchodząc do niej.

I ucałował ją, wśród okrzyków, braw i śmiechów zebranych.

Nazajutrz, pomimo to, że „Kormoran” świetnie zlat, czarnym, przystąpił do oficjalnej próby startu, przed przywiezieniem.

Klemens Durand-Gardel pierwszy wykonał półgociny lot, wraz z członkami komisji i ministrami lotnictwa. Wylądował ściśle w tym samym punkcie, z którego wystartował. Potem trzynaście innych ster i wznosił się sam, aby „próbować” wysokości lotu. W kilka minut osiągnął tysiąc metrów. Jego zawrotny aparyt lot był tego rodzaju, że po upływie kwadransa, dostrzegło się zaledwie maleńki punktik, gdzie w powietrzu znajdował się „Kormoran”.

Ułpynęło pół godziny nabrzmiałe niepokojem oczekiwania.

Poczem trumfowały śpiew trzech motorów znowu zabrzmił w powietrzu, czysto i dziewczęście wielki samolot ukazał się, kierując się ku ziemi. Widziano jak wylądował, odłuli się, stanął pionowo i tak już pozostał, z kadłubem wzniesionym do góry i dziobem w bitym w ziemi.

Na chwilę wszyscy zdziwili z osłupienia i grzy.

— Na pomysł! — wrzasnęła Janka.

Piotr biegł już w stronę samolotu. Janka pocięła za nim, nie wahając się ani chwili. Towarzyszyli im mechanicy, z których jeden nioś!

W kilka minut, zdolano przywrócić maszynę w właściwy stan. Jedno skrzydło było „krzyżowe”, środkowa część złamana...

— Fernandez! Fernandez!

Znaleziono go pod siedzeniem pilota, bez przytomności, z głową przechyloną w tył; był trupio błydy. Piotr wyciągnął go swymi silnymi ramionami i podał tym, którzy stojące niżej tłoczyli się wokół. Złotono Fernanda na nosze, na ziemi. Z lewego ucha tryskała krew; arteria była otwarta, a w ranie kłębił kawał twardego drewna.

Trzeba mu przewiązać ranę — odezwał się jakiś głos — bo mazar z wpływu krwi.

— Biedny Fernand! — wzdychała Janka, zalewając się łzami.

Nie zwracając uwagi na ból, uklekała na ziemi i podłożyła swą prawą rękę pod głowę ranionego, ręką lewą, chwyciła chusteczkę kranie lodowatego potu, który wystąpił na czoło i twarz Fernanda.

Piotr wyjął z kieszeni szczyrki i prul i ciał kombinę z ciemnego płótna i baraniej skóry, poczem przy pomocy chustek, przewiązał mocno ranę.

— Trzeba go przenieść do ciepłego pokoju — rzekł któryś z mechaników. — Musi się rozgrzać. Inaczej, na dodatek, przeziębici się.

Janka, nie zwracając uwagi na chłody wiatr, czempredziła dzieła nalszej i nakryła nim Fernanda, wołał jeszcze, nieprzytomnego. Gladziła go po włosach, grzebiła powoli i czuła, w. Fernand otworzył oczy, zobaczył piękną twarz, na której malowało się wzruszenie i wpatrzone w niego oczy dziewczęc...

Uśmiechnął się i spróbował podnieść rękę, szepcąc: — Widzę znowu!

— Jan... Jan... Janko...

Potem znowu zamknął oczy.

Janka ujęła jego poranioną rękę... Gładziła jeszcze kłęcząc i cna jej postać wyrażała zdumienie, bląd, przestach.

— Niech się pan nie obawia... Jestem tutaj... przy panu.

Uśmiechnął się leciutko i znow zamknął.

(D. c. n.)



Suknia z materiału barwelnianego, pasy podłużne i poprzeczne.

Suknia z płótna jedwabnego, przybrana pelerynką z płótna w paski.

Spódniczka z kremowej wólnej i jumperek z trykotu w poprzeczne paski.

Suknia z materiału barwelnianego w kratę z białym kolinerzem z pik i mankietami.

Suknia z markizety w duży deseń, przybrana guzikami do cienia.



SPRAWY GDAŃSKIE.

Wypadki, jakie zaszły ostatnio w Gdańsku, wzbudzają poważne zastrzeżenia nie tylko z naszej strony, ale i w opinii zagranicy. Powołane, ale stałe przenikanie hitlerowców z Niemiec na teren Gdańska, na co Senat Walnego Miasta strzeże się przez palce, doprowadziło do ogromnego wzrostu wpływu i znaczenia gdańskiej partii narodowych socjalistów. W rezultacie w szeregi hitlerowców przeszli najpierw urzędnicy celni i kolejowi, którzy pilnowali mającej przetrwać interwencji. Później, na terenie Gdańska, a wreszcie sama polska. Wywołane przez te ostatnia telegramu holdownego do Hitlera w dniu jego imienin było bezprawnym krokiem politycznym, przeciw czemu zapotrzebował rząd polski, ten bardziej ze strony polskiej gdańska straszała, jawnie po stronie wicherzyliści pokój. Mnogość się zaczęły bezkarne napady bojówek hitlerowskich na obywateli gdańskich, szczególnie żydów, przyczem w zapale potępiano nawet dwulicowe konwulsje państw obcych, których z wyglądu wzięto za izraelitów. W dniu 1 maja znak swastyki ukazał się na polskich mundurach kolejarzy gdańskich, a 12.V bojówki hitlerowskie przy pomocy policji opowiedziały się po nich przeciwko zawodowcom. Dostali nawet do napadnięcia na 3 urzędników polskiej służby zagranicznej. Rząd Polski złożył liczne protesty u Komisarza Ligi Narodów w Gdańsku, p. Rostinga, a opinia publiczna zagranicy zaczęła się domagać energicznych zarządzeń ze strony Genewy. W parlamencie angielskim proponowano nawet wysłanie angielskich krążowników dla przywrócenia pokoju w Wolnym Mieście. Wreszcie, w końcu, p. Rostinga do przeprowadzenia rozmów z przedstawicielami hitlerowców, jednak uspokajające deklaracje złożone na wzór oświadczenia Hitlera, przez pp. Forstera i Rauschninga nie daly, jak dochoćby praktycznych rezultatów, co stawia pod poważnym znakiem zapytania na jego odległość. W dniu 26.V wybory do Senatu Walnego Miasta.

WIZYTA ROSENBERGA W LONDYNIE.

Wyrazem nastrojów antysemitycznych Anglii były wypadki, jakie rozegrały się podczas niemieckiej wizyty p. Rosenberga, niedzielnego, a ostatniego przedstawiciela Hitlera, w Londynie. Minister Spraw Zagranicznych, Simon, zgodził się przyjąć p. Rosenberga i to w charakterze osoby prywatnej, jedynie na skutek ustnych nalegań posła niemieckiego w Londynie. Zupełnie otwarcie natomiast zamiast festiwal niechęci angielskiej wobec tej wizyty, niejaki p. Spears, b. kapitan z czasów Wielkiej Wojny, który właśnie, złożony przez Rosenberga przy grobie Niemca Żelazna wzmiankowanego, p. Tamm, a znowu, p. Tamm, zwracanie zamełdował na posterunku policji skazano go na 48 sztygierów jako jedynie. Również dozwolono poddać się karze drugi angielski, który dostał się, że jest w tym samym wagonie z Rosenbergiem, pociągając za hamulec i wysiadł po zatrzymaniu pociągu, oświadcza, że woli zapłacić karę, niż być razem z ostatnim przedstawicielem hitlerowskim.

WIZYTA MINISTROWI HITLEROWSKICH W WIEDNIU.

Podobnie przykre wyniki miała nieprawa wizyta hitlerowskich ministrów Rzeszy w Wiedniu, gdzie Rząd Austriacki oświadczył gościom wprost po przyjeździe, że są niepożądani na jego terytorium i ostrzegł przed uprawianiem hitlerowskich propagand w czasie pobytu. Ponieważ mimo to ministrowie Rzeszy, pp. Franek i Kerr wygłosili spokojnie przemówienie, skierowane przeciw rządowi austriackiemu, zostali jeszcze prostrastni muszeni opuścić Austrię, nie doznaczając sobie ostrzeż. przyczem wyjazd ten nastąpił pod ścisłą, ale najgłówniej nie honorową, eskortą policyjną.

DEBATY KONFERENCJI ROZBROJENIOWEJ.

Konferencja Rozbrojeniowa przeszła w dniach ostatnich ciężką próbę wobec usiłowań niemieckich na celu jej zerwania. Przyczyną konfliktu było stanowisko konferencji, która wypowiedziała się przeciw ar-

mjom zawodowym, ułatwianiem rzeź przez strasza, znakomicie prowadzenie wojny agresywnej. Wniosek ten godzi w pierwszy rzędzie w istnienie 100.000 Reichswojów niemieckich, które Niemcy nie chcą się wyzbyć, gdyż dają do równouprawnienia wobec innych państw, chcą utrzymać jednocześnie się przywileje. Deleгат niemiecki, p. Nadolny zgodził się wprowadzić na dalsze obrady, ale spokojnie wychylił na ten czas do Berlina. Jednocześnie wyszła rewelacyjna mowa w. Papen, vice-kancelarza Rzeszy, nawołująca jawnie Niemcy do wojny odwetowej, a minister spraw zagranicznych Rzeszy, Neurath, ogłosił artykuł, w którym stwierdził, że Niemcy dojdą do siebie względnie na wyniki Konferencji Rozbrojeniowej.

MOWA HITLERA.

W tych warunkach z wielkim nateżeniem oczekiwaną była zapowiedziana mowa Hitlera, wypowiedziana na specjalnie zwołanym posiedzeniu Reichstagu w dniu 17 maja. Stwierdził można, że przyniosła ona duże odprężenie wzbudzonych nastrojów, gdyż Kancelarz Rzeszy zapewnił solennie, że Niemcy nie dają do wojny i nie zlamia zadania przyjętego przez Reichstag. W końcu konferencji tego przemówienia wypowiedział również w dniu 22 maja wywołanie niemieckich zastrzeżeń p. Nadolny na Konferencji Rozbrojeniowej.

ORĘDZIE ROOSEVELTA.

Do tego odprężenia przyczyniło się w znacznej mierze orędzie, skierowane przez prezydenta Roosevelta do 44 narodów świata, które brał mają udział w rozpoczynającej się w dniu 12.VI konferencji ekonomicznej w Londynie. Celem tego orędzia było zapewnienie prowadzenia tej właśnie konferencji przez pełnięcie na realne troski sprawy rozbrojenia, oparcia się na obecnym statu quo politycznym Europy, zaniechanie wszelkich planów unkojii lub agresji. Orędzie to jest natomiast pierwszym wywołaniem Ameryki że słowna neutralność wobec Europy, gdyż stwierdza gotowość wzięcia udziału, z zastrzeżeniami wprawdzie, w sankcjach, jakie zostałyby powzięte wobec państwa-napastnika. Polski, przez prostą, więc, w odpowiedzi wysłanej przez Prezydenta Me-Sieckiego, orędzie to z sympatią. Należy jednak przypomnieć, że z naszej strony zgłaszano, który wobec Londynu do pogodynie rozbrojenia, który z kolei, proponował układ rozbrojeniowy zwoływany, ale zatajli do przyjęcia przez wszystkich, jako pierwszy etap prac rozbrojeniowych.

PAKT CZTERECH.

Duże zastrzeżenia ze strony polskiej budzi również fakt, że w związku z osiągniętym odprężeniem, podjęte zostały na nowo rozmowy o pakcie czterech, co do którego nasze ściśle twierdzenie słowne nie uległo najmniejszemu zmianie, nawet gdyby zmianom na lepsze, ale miały sam projekt paktu. Gdyby bowiem cztery mocarstwa zaniechały istotnie mierzona się do spraw innych państw to i wówczas jeszcze pakt taki, jak ten, nie mógłby być niepożądanym dla wszystkich naszej apolity.

WYPADKI NA DALEKIM WSCHOĐIE.

Oczekiwane jest z dnia na dzień zajęcie Pekinu przez wojska japońskie, które posuwają się wciąż włąb terytorium chińskiego.

LOT ALPEJSKI.

W locie Alpejskim, który składała się z dwóch części: lotu gwiazdowego i alpejskiego lotu okrężnego wzięli udział dwaj polscy lotnicy: kpt. Bajani i kpt. Dudziński. Lotniewy zdobyli najdłuższy rekord w historii lotów (w której brana jest pod uwagę długość trasy, przeciętna szybkość). — kpt. Bajani 8750 punktów, kpt. Dudziński 8,573. W drugiej części lotu obu ich jednak sposobu niepowodzenia, gdyż samolot kpt. Bajana zniknął na skutek zahaczenia przy starcie o drzewo, samolot kpt. Dudzińskiego natomiast zmówiły drobny defekt do lądowania w Szwajcarii przy starcie wypadłowi (złamania śmigła i uszkodzenia) był zmuszony wycofać się z celu i rozpoczął lotu.

KOPIEC WYZWOLENIA NAD GRANICĄ POLSKO-NIEMECKĄ.

W Piekarach Wielkich, nad granicą polsko-niemiecką rozpoczęte zostało w dniu 20 maja spisanie kopca Wyzwolenia z inicjatywą powstańców śląskich. Kopiec ten wznosi się na 20 m, górując w ten sposób nad okolicą, jako symbolizujący znak walki o wolność Ziemi śląskiej.

10 DNI W ŚWIECIE

POLSKA NA TARGACH PARYSKICH I MEDJOŁANSKICH.

Tegoroczny pawilon polski na targach paryskich zwraca poważną uwagę, a w dniu otwarcia, w połowie maja, zwiędzany był przez prezydenta Francji, Lebrun. Wielkim również powodzeniem cieszył się pawilon polski na targach medjołańskich, gdzie powszechną uwagę zwracała bryła soli, eksponat Państwa Monopoli Solnego, wyrzeźbiona w kształt gdańskich faszystowskiego — podobnie, jak w ten sam sposób wystąpił w węglu naszym znak włoski.

WYSTAWA MIEJSKIEJ SZKOŁY ROKÓDZIENICEJ.

Dnia 24 maja b. r. w obecności przedstawicieli Miasta, Przemysłu i Handlu odbyło się uroczyste otwarcie wystawy prac uczennice 1-ej Miejskiej Szkoły Rokódzienniej. Wystawa sięgnęła sporo publiczności, podziwiającej owce caloraznej pracy uczennice. A było co podziwiać: artystyczne hafty, wspaniałe kilimy i poduszki, zdumiewały precyzją wykonania i harmonią barw.

Ogólny zachwyt wzbudził także galeriaj skórzanej, szczególnie zaś różnego rodzaju grubość, damskie pantofelki, a nawet lakiery meskie.

Na uwagę zasługuje to, że uczennice szkoły i same projektują wzory do haftów, fasony sukien i t. d., wykazując dużą inicjatywę, pomysłowość i gust.

Z uznaniem podkreślić należy dobrą organizację wystawy.



Angielskie studentki grają w rugby.
Nie radzimy naśladować!

A TERAZ MAMY DO NASZYCH CZYTELNICZEK WIELKĄ PROŚBĘ!

— żeby zechciały wypisać na adresomanie do Administracji *Świata Dziennic* (Warszawa, Sołec 87) zwykłej pocztowej kartce przynajmniej 5 imion, nazwisk i adresów, osób, które mogłyby i chciały zaprenumerować *Świat Dziennic*. Mogą to być krewnie, koleżanki, przyjaciółki i znajome naszych prenumeraterek i czytelnicek. Pod podaniem nam adresami myślimy BEZPLATNE numery okazane naszym bismu.

Pożądaną jest oczywiście większa ilość adresów niż 5.

Nazwiska 5-ciu czytelnicek, które tą drogą uzyskają nam najwięcej adresów prenumeraterek, będą podane w piśmie. Dostaną one cenne nagrody książkowe.

REDAKCJA.

OBCHODY MATURALNE

ZAKOŃCZENIE ROKU SZKOLNEGO

W poprzednim artykule staraliśmy się określić ogólnie istotę i charakter teatru szkolnego. Zanim przejdziemy do omówienia konkretnych jego zadań, jego schematu organizacyjnego i ewentualnego programu zajęć — zajmijmy się przede wszystkim w tej chwili sprawą najbardziej aktualną ze względu na zbliżający się koniec roku szkolnego.

Jak *mlasneni silami*, w obrębie własnych możliwości, urządzić coś w rodzaju — nazwijmy to szumnie: festiwalu pożegnального, który, nie będąc pretensjonalnym naśladowstwem gotowych wzorów z teatrów — czy pokazów zawodowych — posiadałby przecież własną dynamikę, własną ekspresję, a zarazem i własne, odrębne oblicze artystyczne?

Istnieje tu kilka ewentualności. Najlepiej bezspornie rozwiązaniem byłoby ułożenie własnego tekstu — o zabarwieniu dramatycznym - monumentalnym, czy też satyrycznym - rewelacyjnym — to zależy od upodobań. W tym wypadku niepodobna oczywiście narzucać żadnego pomysłu: im bardziej zaktualizowany, dostosowany do danych warunków, tekst, im bardziej oryginalny, osnuty na indywidualnym tle danego środowiska szkolnego pomysłu — tem lepiej. Radzić by można jedynie, by najczęściej i najchętniej stosowane w takich wypadkach parodie — nauczycielska, koleżanki i kolegów i i. t. d. — włączyły się kompozycyjnie z resztą programu. Być może po jakimś dostępnym scenie parodystycznej nie następowala zgoda nie na miejscu w tym wypadku jakaś „podniosła” deklamacja — np. „Smutno mi Boże”, albo odwieczne, po tysiące razy powtarzane „Wesele” z „Wiesława” Brodzińskiego. Być może, że większość z was przyjdzie z oburzeniem podobne insynuacje — wierzyć jednak doświadczonych koleżance: na tem polu dzieja się w naszych szkołach rzeczy całkiem nie do przewidzenia! Poproście strasznie!

Parodie, piosenki satyryczne „własnego chłowa” są ogólnie pożądaną, zwłaszcza, o ile wieczór urządzony jest dla grupy ścisłej — np. tylko dla maturzystek. W wypadku, gdy w wieczorze uczestniczy wiele klas, a iembardziej gości z zewnątrz — należy uważać, by aktualna i okolicznościowa doinki były zrozumiałe i dostępne dla wszystkich słuchaczy.

W każdym razie „festiwal”, opierający się na twórczości samodzielnej — wypadnie, oczywiście zawsze bez porównania lepiej i wdzięczniej, aniżeli najbardziej wymyślnie „tańczenie na cudzą nutę”. Ale ta twórczość samodzielną musi płynąć z istotnej wewnętrznej potrzeby, musi powstać samorzutnie dzięki istniejącym niesfalszowanym ujednoliciom: wymuszona „ad hoc”, wymuszona na obustalunek, nie ma naturalnie racji bytu.

Jak mąka urządzić widowisko na zakończenie roku szkolnego zespoły młodzieży, nieposiadające w swem gronie talentów piskarskich i poetyckich?

Tu znów nasuwają się różne rozwią-

zania, w zależności od tego, czy uroczystość, przeznaczona ma być tylko dla absolwentek, czy też dla całej szkoły. W pierwszym wypadku może mieć charakter bardziej kameralny - intymny — w drugim — raczej monumentalny. W każdym razie tylko zupełnie wyjątkowo rozdzielmy wystawienie jakiegś gotowej „sztuki”. Sądźmy, że o wiele lepiej wypadnie szereg poszczególnych inscenizacji, komponowanych jednak, jako pewna całość.

Nie jako wzór do dosłownego naśladowania, ale jako przykład dla lepszego zilustrowania naszych pomysłów, przytoczymy tu inscenizację, urządzoną w gimnazjum żeńskim jednego z większych miast prowincjonalnych.

Wieczór pomysłany był jako ilustracja tezy mikiewiczowskiej „Hej ramię do ramienia” — i miał symbolizować łączność i braterswo w pracy młodzieży szkolnej. Z tego właśnie względu w widowisku brały udział przedstawicielki *wszystkich* klas — od 1-ej do 8-ej. Pod względem kompozycyjnym całość podzielona została na trzy części: groteskowa, realistyczna i dramatyczno-poetycka. Łączność pomiędzy poszczególnymi partiami utrzymywał „Chór”, złożony z 10 dziewczyn — od najmłodszej do najstarszej. Chór rozpoczynał przedstawienie rodzajem prologu poetyckiego i tancznego, który niejako zapowiadał i z góry podkreślał ideę widowiska, a którego główną pointę stanowił refren:

„Dwuch więcej zrobi niż jeden — dziesięć więcej, niż dwóch”.

Po zakończeniu prologu „Chór” zstąpił z estrady na specjalne podium, mieszczące się bliżej publiczności, i siadł już, poprzez dialogi lub chorały wypowiedzenia, zapowiadał sceny, mające nastąpić na estradzie, lub też po zapadnięciu kurtyny, wyrażał swoje sentencje.

Część I-a — groteskowa — rozpoczęła inscenizacja bajki Krasińskiego „Wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły”. Poszczególne „zwierzęta”, wypowiadając tekst „od autora”, grały jednocześnie swoje role: a więc biegaly, „igraly”, pasły się i t. d. Gdy po odmówieniu pomocy przez wszystkie zwierzęta, biedny zając zostaje wreszcie z wielkim hałasem i ujadaniem zagryziony przez piski — wół, koziół, owca i in. zbiegał się i głośno lamentują i porykują z żalu. Kończąc konkluzję: „Gdy więc wszystkie sposoby ratunku upadły, wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły” — wypowiada Chór.

Po tym negatywnym, a groteskowo ujętym obrazku — skutki egoizmu i braku spójności — nastąpił drobny żarcik, udośplniający hasło „Wszyscy za jednego” przez dzieci najmłodszego odegrany. Była to historyjka na temat popularnej gadki ludowej: „Cztery młoty za Warszawą ożenił się dudek z kawką” — opowiadała, jak to małe ptaszki wystąpiły w obronę wróbelka, krzywdzonego przez pyszną sówkę, jak ją wyrzucił z okryciem: „Siedźże sobie w domu sama,

„Kieć nie sowa, ino dama!”

Nastąpiła inscenizacja Fredrowskiego „Pawła i Gawła”, w wykonaniu dziewcząt z klas starszych i średnich — również ujęta groteskowo — w której całe opowiadanie „od autora” zostało skomponowane, jako rozmowy o plotki kumoszek „podsluchujących i podpatrujących na schodach, co też to za awantury dzieją się u dwóch sąsiadów.

Przebieg od tej inscenizacji, stanowiącej ostatni punkt części humorystycznej, do części poważniejszej — zaznaczył Chór w krótkim dialogu, w którym była mowa o „mierzotymnych Tomkach, z których każdy zaskłapia się w swoim małym domku” — zamiast by wszyscy razem wzięli się do budowania wielkiego, domu wolności. I tu rozpoczęła się część II, stanowiąca jedną większą całość — mianowicie inscenizacja w trzech krótkich odsłonach z epilogiem znanej powieści Żurawkowskiej „Roman i 19-tu”. W inscenizacji — akcent został położony na moment woli i wysiłku jednostki (Roman), która porywa za sobą zbiorowość do czynu (budowa własnymi rękami sali szkolnej) — z drugiej zaś strony na walkę tejże jednostki ze zbiorowością i na konieczność podporządkowania się jednostki prawom gromady.

Część III wypełniła już tylko bardzo silna w ekspresji kompozycja tanczna „Praca”, obrazująca zbiorowość wysiłków — oraz, wykonana przez dziewczęta najstarsze, inscenizacja „Ody do młodości”, pomyslna monumentalnie, jako recytacja chorałowa, ze skomplikowanym podziałem na głosy i z wyodrębnieniem pewnych partii solowych.

Sądziłmy, że zamiast bawić się w ogólniki, lepiej podać konkretny przykład możliwości inscenizacyjnych, dla uplastycznienia tego, o co nam chodzi. Jasne jest jednak, że tego rodzaju „zakłócenie roku” jest tylko jedną z ogromnej ilości możliwości.

Jednakże dwa warunki muszą być bezwzględnie spełnione. Jeden — to *samodzielną* pracę młodzieży przy całej imprezie. Oczywiście można — a czasem nawet trzeba — poprosić kogoś starszego i doświadczonego o radę, czy nawet kierownictwo; ale nie wolno przyjmować go biernie, trzeba samemu *niepółpracować*, podawać własne projekty, pracować twórczo nie tylko w ramach odtwarzania aktorskiego, ale i w samym komponowaniu całości. Podobnie kostiumy i dekoracje muszą być komponowane i wykonane własnymi siłami. Grać można zawsze na ile kolar, a najprościej, symbolicznie zaznaczyć charakterystyczne cechy wyobrażanej postaci, zastąpić doskonale najbardziej wypracowany kostium.

Drugim postulatem, jest utrzymanie pewnej jednolitości zarówno od wewnątrz — nazwijmy ją ideologiczną — jak jednolitości formalnej, stylowej. Jeśli macie jakieś pomysły inscenizacyjne, a trzeba Wam rady — napiszcie do Redakcji na moje imię, a dopomogę Wam z pewnością.

I. Jabłonna.

